

miroslaw sznajder

# NO, WELKI ZBOJECKIE



MIROSŁAW SZNAJDER

# NOWELKI ZBÓJECKIE



© Copyright by Mirosław Sznajder & e-bookowo  
Grafika i projekt okładki: e-bookowo  
ISBN 978-83-62480-43-2

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo  
[www.e-bookowo.pl](http://www.e-bookowo.pl)  
Kontakt: [wydawnictwo@e-bookowo.pl](mailto:wydawnictwo@e-bookowo.pl)

Wszelkie prawa zastrzeżone.  
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości  
bez zgody wydawcy zabronione  
Wydanie I 2011

**SPIS TREŚCI**

<b>KĘSIM .....</b>	<b>5</b>
<b>STANCJA .....</b>	<b>9</b>
<b>NI MA .....</b>	<b>11</b>
<b>KAROLCIA I PREZES .....</b>	<b>13</b>
<b>I BUFAN .....</b>	<b>22</b>
<b>CO DO GROSZA.....</b>	<b>24</b>
<b>TU BUŁ .....</b>	<b>27</b>
<b>MÓW DONICO.....</b>	<b>29</b>
<b>RĘCZNIE PLECIONA DRABINKA .....</b>	<b>31</b>
<b>JAK STAWIANO MOST.....</b>	<b>43</b>
<b>CICHA NOC, ZWYCZAJNE ŻYCIE .....</b>	<b>45</b>
<b>PANISKO.....</b>	<b>53</b>
<b>KTÓRA .....</b>	<b>61</b>
<b>VIA ALL'ITALIANA PO NASZEMU .....</b>	<b>64</b>
<b>JAK DYMEK Z PAPIEROSA.....</b>	<b>83</b>
<b>ZA NASZE, WASZE.....</b>	<b>86</b>

# KĘSIM

## I

Minęło południe, dochodzi trzecia, może i piąta, kto to wie? Wie ten, kto ma zegarek. Ale który z trzech siedzących na pniach przy drodze w pobliżu pierwszych chałup Stanisławowki ma choć marną kopiejkę? A co dopiero zegarek... Jedyny w miasteczku zegarek nosi na ręku popadnia, Nikolajewna, – ona? jaki zegarek, blaszkę z odpusty, joj, ta u nich bida, aż skrzypi.

Drugi zegar, wielki jak wyprostowany chłop, stoi na wystawie Siemiona Potapycza, tego, co proste urządzenie naprawia, starzyznę za marny pieniąż od ludzi skupuje od wiki wikiw, a sprzedaje gdzie indziej po szerokim Bożym świecie za ciężki rubel, oraz innymi rzeczami się trudzi, o których lepiej za głośno nie mówić. Jest pewnie i trzeci, u tych, tych.

Ale reszta narodu ledwie co zje, byle czym się okryje. Od zachodu coraz to zawieje wczesnojesienny wiatr i zakręci piachem na drodze. Poszłoby się do domu... ale w domu ziąb taki sam, albo gorszy, bo do tego jeszcze wilgoć i grzyb.

A rodzina tylko się gapi, czy czegoś do zarcia nie przyniosłeś. I czy czegoś cichcem nie wynosisz.

– Ech ty, Fyłyp, smatri, Poliaki jedut!

– A ty sionyk, szto? Nos u tebia jak sobaka? oczy jak sokoł, a?

– Co u mni, to moje, tobi niczewo. Tak i Poljaki jedut, jebu ich mat’.

Prawda jest! Od linii lasu zbliża się obłok, szparko toczy się bryczka, widać zza kurzawy końskie łby, a potem i ludzkie sylwety. Ci zawsze mieli czym jeździć, co wozić, myśli spode łba Fyłyp, myśli tak niejeden w Stanisławowce, myślą tak samo i gdzie indziej ci, co ssą mleko szerokiej piersi ziemi – wołyńskiej ziemi-matki.

– At, panienka-krasawica Poliaczka, a nie dlia tiebia!

– Małczy, durak, iszczo bude moja...

## II

Rozległa ta ziemia, zdrowa i obfita, od prawieków karmiąca każdego; a mimo tego jej szerokiego gestu, ludziom zawsze tu ciasno bywało; swój przeciw swemu, człek przeciw człękowi, nacja wraża wobec innej nacji, z czego wieczne niepokoje i wściekłość.

Twarde wyhodowywały się tu i ostawały charaktery, kamienne obyczaje i prawo. Człowiek gołębiego serca ginął lub musiał iść i pod łagodniejszym niebem szukać miejsca.

– Widziałaś, córcia, jakie to mordy, jak-ci spode łba Fyłyp

gapił się i tych jego dwóch psubratów?

– Widziałam, gapią się, bo i my podobnie patrzymy na nich.

– Nie gadaj, nie! Wszystkiego nam zazdrozczą, a sam jeden z drugim za robotę nie weźmie się, ino knuje, jakby cię tu zaciukać i zagarnąć nieswoje. Ty zaś mi się, dzieciaku, ani waż na nich patrzeć i z nimi zadawać, bo robaczywe ich zamysły.

– Ech, tato, tato...

### III

Ciemnieje, od wschodu martwo sinieje woskries, tylko zachodnie niebo zapala się na czerwono. Podnoszą się, jeden po drugim otrzepując portki z kory. Po niwach, z dalekich łąk niesie się porykiwanie krów, skrzypi studzienny kołowrót, sygnaturka zabręczczała z cerkiewnej bani, tak trzeba i im do chałup, do swoich. A im bliżej chałup, tym gorsza droga, bajorowata od zarania, zdradziecka, niedobra. W oknach ciemno jeszcze, tylko u popadii i tych, tych, jebu ich mat' Poliakiw w okienkach jasno. Przechodzą mimo tych okien i trącają się w żebro... przyjdzie się po ciemku, zaśpiewa na pohybel:

*Pomyłeńku, Fed'ku hraj*

*bom kapustu jila!*

*Pomyłeńku obertaj,*

*bo budu perdyła*

## IV

– Co to, kto to, ojczy wrzeszczy pod okiennicami? Boże, jaki wstyd!

– Kto? Dobrze wiecie kto – ile to wam mówiłem, byście z daleka chodziły od hołoty, żeby żadnego gadania, pożyczania im i pomagania, bo za to jeszcze gorzej nie cierpią nas. A przyjdzie i taki dzień, że nie daj Bóg...

Bo za lasami, lasami i za wodami, wodami toczą się czarne wozy wojenne, a po niebie, po ogromnym, suną skrzydła śmiercionośne, pali się i wali świat cały! Ku Wołyniowi idą zbrojni; ale i na Wołyniu podnoszą się pięści, pobłyskują zbójckie narzędzia, milknie w płomieniu cerkiewny śpiew.

W Stanisławowce okna ciemne, w jednych tylko jasno jak w dzień. Tam jężory ognia liżą ściany i skaczą po tapetach, trzeszczą skry z gorejącego sprzętu, także i z mebli; tam oszalałe z trwogi oczy Poliakiw żenszczyn; a Fylyp wodząc dzikim nożem po wrażej, ojcowskiej grdyce, z czego rżenie da się słyszeć i chlupot juchy, śpiewa:

– Ech, panienska-serdeńka, budiesz ty moja!



# STANCJA

Dochodziła piąta rano, gdy Mir i Jur dotarli do swojej siedziby. Niemało czasu zeszło im przy odwalaniu desek i gruzu sprzed drzwi, a potem drugie tyle przy odrywaniu sztab i skobli. Wreszcie weszli w ciemność zastygłą, w stęchlą wilgoć z zapachem charakterystycznym dla długo zamkniętych pomieszczeń. Z początku szli po omacku, ale gdy tylko oswoili się z mrokiem, Mir wyciągnął rękę do kontaktu. Jur błyskawicznie, jakby wyczuwając jego zamiar, złapał go za przegub.

– Nie waż się!

– Dlaczego? – aż się wzdrygnął wystraszony Mir.

– A to ty nie pamiętasz, że mamy licznik od elektryki na zewnątrz i od razu będzie wiadomo, że byliśmy znowu? Lepiej weź się za sprzątanie.

W korytarzu zrzucili plecaki i wierzchnie okrycia. Mir znalazł szczotkę na kiju. Jur tymczasem kręcił się po pomieszczeniach, wreszcie z jakimś podłużnym, metalowym przedmiotem podszedł do okien. Niczego tak w życiu nie znosił, jak zaduchu i widoku zamkniętych okien. Rozległ się

przeraźliwy jęk wyciąganych gwoździ i chrupot odrywanych desek, którymi zabite były ich okna. Mir struchlały i oblany potem to zamiatał, to – wsparty na szczotce – nieruchomiał co chwila.

– Wiesz, przeraża mnie to – odezwał się wreszcie.

– Co cię tam znów przeraża – rzucił Jur przez ramię podwijając rękawy.

– A, cała ta nasza sytuacja

# NI MA

Była uliczka, jest jeszcze do dziś dnia i jakiś czas pobędzie, ta uliczka, którą łazili wymiętoleni ludziska, w którą od strony świata wjeżdżał tramwaj.

Tramwaj bujał się okropnie na krzywiznach i załomach, po czym wykręcał jakby z niecierpliwiej złości na podmiejską bide i puszczał się w lepszą dalszą drogę. Zaś uliczka szła se prosto brukiem, krzakiem, niechodnikiem między parszywe kamieniczki dwie i waliła nosem w cmentarny mur, gdzie od lat był jej kres.

I dobrze.

A kamieniczki stały se naprzeciwko jak zawistne siostry.

Jedna krzywsza od drugiej, lecz w krzywości sobie podobne jak te ich bramy zdobne w rynsztoki środkiem bram płynące.

– To domy dla elementów – gadali tramwajowe widze odwracając zgorzony łeb.

I dobrze.

... bo w bramie nad rynsztokiem kobite mąż łaje:  
– w domu kropli wódki ni ma, a tej się butów zachciało

# KAROLCIA I PREZES

Dopiero we wtorek po południu kuzynka pracująca w Warszawie przywiozła Karolinie gazetę z poniedziałkowym, grubym dodatkiem w całości poświęconym pracy.

– Trochę pognieciona, co?

– E, to nic – odparła Karolina. – Schowam do reklamówki, zobacz jak tu u nas od rana leje. Cały kwiecień był taki.

– Wiem, wiem, mogliby przynajmniej jakiś chodnik zrobić. Patrz, jakie bajoro. Jak tu teraz przejść? Cholera wie, na co te gminne pieniądze idą. Daj buziaka, lecę.

Rozstały się i ruszyły spod daszku przystanku PKS-u każda w swoją stronę. Karolina narzuciła płaszcz na głowę i nawet nie bardzo patrząc pod nogi pobiegła przed siebie. Żeby nie wiadomo jak uważała, to drogi tej i tak nikt nie umiał przejść suchą nogą. Na pobliskich polach i łąkach prawie niewidoczne wśród traw i młodych zbóż połyskiwały rozległe płachty podmokłego gruntu.

\*\*\*



**Mirosław Sznajder** (ur. 1946 r.) - zabłąkany w dziedzinę pisarstwa wywoływacz duchów i cieniów, również cieniów przeszłości, usadowiony jako tako w siodle czasu teraźniejszego. Związany niemal od urodzenia z Warszawą, co rusz rozstawał się z nią niecierpliwie wyruszając tu i tam w świat, także i po to, aby dowiedzieć się, jak to jest gdzie indziej. Założył poetycką grupę („Stajnia”), zdobył ostrogi polonistyczne na UW. Publikował

swe utwory w prasie warszawskiej, almanachu "Iskier", recenzje w "Nowych Książkach" oraz "Przez Grójecką" zbiór wspomnieniowych tekstów w wydawnictwie Spectrumpress.

Aż nadto miał czasu, by - zaglądając światu w oczy - przekonać się, że nie należy uznawać za stracony czas, ten czas, który poświęca się ludziom, miejscom dawnym, innym. Prezentowany w Wydawnictwie e-bookowo zbiorek to utwory najnowsze, pisane trochę na przekór sobie. Próbują powiedzieć to i owo o czasie obecnym; o ludziach, sprawach i obyczajach znanych nam z codziennego obcowania - z rzeczywistością i jej cieniami.